



Jesień 2013



zmiana tematu

mówimy jak jest



W numerze

- 3 **Znosimy z obrzydzeniem,
czyli kilka słów o tolerancji i homofobii**
Karolina Konfederak
- 6 **My, dzieci z fejsa**
Franciszek Drąg
- 7 **Pieniądz rządzi**
Karolina Konfederak
- 8 **Niesamowicie blisko, niesamowicie subtelnie**
Weronika Kursa
- 10 **Film Jobs nie zachowuje proporcji**
Jan Fabian Woźniak
- 12 **Nagroda Nike dla Joanny Bator**
Olga Wesołowska
- 14 **W pogoni za mózgiem**
Artur Malec
- 17 **Współlokator**
Ewa Budzińska
- 18 **Golem**
Mateusz Chwiałkowski
- 23 **Cel? Miasto aniołów!**
Martyna Solarska
- 25 **Stopniowa strata barw**
Weronika Kursa

Wszystkie fotografie wykorzystane w artykułach, jeżeli nie zaznaczono inaczej, pochodzą z serwisu flickr.com i są dostępne na licencji Creative Commons. Materiały dotyczące filmów to udostępnione przez twórców materiały prasowe.

Redakcja

Jan Fabian Woźniak
Redaktor naczelny

Artur Malec
Z-ca redaktora naczelnego

Marcin Górecki
Opiekun redakcji

Ewa Budzińska, Mateusz Chwiałkowski,
Franciszek Drąg, Karolina Konfederak, Weronika
Kursa, Martyna Solarska, Olga Wesołowska

Znosimy z obrzydzeniem, czyli kilka słów o tolerancji i homofobii

Społeczeństwo | Już od dłuższego czasu jest głośno o tym, jaki stosunek ma społeczeństwo do osób o odmiennej orientacji seksualnej. Skąd w nas tyle nienawiści? Czym naprawdę jest homofobia i jak ma się ona do tolerancji?

Karolina Konfederak

Temat wracający jak bumerang.

Już kolejny raz Urząd Stanu Cywilnego odrzucił wniosek dotyczący możliwości zawierania małżeństw przez pary tej samej płci. Temat powoli robi się nudny. Szczerze mówiąc mam już dosyć notorycznie podawanych w mediach informacji o marszach równości, kampaniach czy ustawach w sejmie o związkach partnerskich, które nie przeszły i spójrzmy prawdzie w oczy- nie przejdą. Teraz pozostaje tylko zadać pytanie dlaczego? Otóż dlatego, że pogląd większości społeczeństwa

w Polsce jest taki a nie inny. Francja, Hiszpania, Norwegia, Belgia i Holandia – m.in. te kraje uznają małżeństwa jedнопłciowe. W Polsce zdecydowanie mamy do czynienia z homofobią i nietolerancją. Ale ile można zagłębiać się w temat nie wyrabiając sobie nawet jednoznacznej opinii?

Tolerancja jest dla każdego czymś innym.

Najpierw należy zrozumieć samo pojęcie tolerancji. W moim rozumieniu znaczy to tyle samo co znoszenie z obrzydzeniem, nieakceptowanie czegoś ale równoczesne nie tępienie tego. Możemy to porównać z formą adaptacji w społeczeństwie jaką jest wycofanie. Mianowicie jednostka odrzuca obowiązujący pogląd ale tym samym odstępkuje od konkretnych działań przez rezygnację. Nie sposób nie dostrzec podobieństwa. Tolerancja jest ściśle zwią-

zana z takimi terminami jak rasizm, antysemityzm czy homofobia. Wbrew pozorom te trzy pojęcia wcale nie różnią się od siebie tak bardzo mimo to „stopień szkodliwości” pozostaje kwestią sporną. Moim zdaniem homofobia jest najmniej niebezpieczna, jednak jak to zawsze bywa nie brakuje ludzi, którzy się ze mną nie zgodzą.

Homofobia nie jest szkodliwa!

Homofobia jest stanowczą dyskryminacją i niechęcią do homoseksualistów. W sumie nie niesie za sobą żadnych konsekwencji. Bo co złego jest w tym, że ktoś nie akceptuje i czuje obrzydzenie do czegoś co jest zwyczajnym odejściem od tego co normalne i właściwe, zgodne z ludzką naturą? A jednak! Nadal są i będą urządzone protesty, marsze, kampanie, które informują na przykład, że „Homofobia szkodzi Tobie i osobom w Twoim otoczeniu”. Jest to stwierdzenie absurdalne i bezsensowne. W większości za takie propagandy odpowiadają homoseksualiści we własnej osobie. Tę mniejszość społeczną możemy śmiało przyrównać na przykład do ruchów feministek ponieważ działają na podobnej zasadzie. Na jakiej podstawie Ci ludzie domagają się specjalnego traktowania? Póki na razie mamy w Polsce ustrój demokratyczny i jest wolność słowa, wyrażanych opinii i wyznawanych wartości to WSZYSCY obywatele są równi wobec panującego prawa, a każdy może wyrażać własne zdanie, racje czy prezentować

określoną postawę. Tak więc homoseksualiści mają prawo darzyć uczuciem kogo chcą a homofobowie mają prawo nie akceptować tego. Ciężko mi w tej sytuacji zachować obiektywizm i neutralną postawę ponieważ nie wyobrażam sobie, że miałabym tolerować coś co z pewnością nie jest normą.

Bo patrząc z rozsądnego punktu widzenia gdyby homoseksualizm był naturalnym stanem rzeczy to ludzkość wyginęłaby już tysiące lat temu. Geje i lesbijki tłumaczą, że każdy ma przecież prawo do miłości. Ależ oczywiście, że tak! Tylko dlaczego mają oni być traktowani lepiej czy po prostu inaczej niż cała reszta? I dlaczego koniecznie muszą manifestować to, że odczuwają głęboką potrzebę pokazania swia-

Krytykował on Władimira Putina za to jak traktuje mniejszości w swoim kraju. Wszyscy wiemy, że mimo postępowości Putin najchętniej zamknąłby wszystkich homoseksualistów w więzieniach. Nie jest to jednak powód, by Polska wtrącała się w takie sprawy i to na dodatek w sposób przez który chcąc nie chcąc staje się pośmiewiskiem Europy. Nasze stosunki z Rosją i tak są dostatecznie napięte a wystarczającą kompromitacją jest przykładowo polityka transseksualisty również z Ruchu Palikota Krzysztofa Bengowskiego lepiej znanego jako Anna Grodzka. Razem z panem Biedroniem zasiadają w sejmie i zamiast zajmować się sprawami, które mają znaczenie w państwie notorycznie i jawnie walczą o prawa



tu, że chcą się trzymać publicznie i ostentacyjnie za ręce i niestety nie tylko to. Na to pytanie raczej nie uzyskamy sensownej i satysfakcjonującej odpowiedzi zatem nie ma potrzeby dalej się w to zagłębiać.

Homoseksualizm a polityka

Najbardziej ostatnio budzi we mnie przerażenie to, co obecnie dzieje się w świecie polityki w sprawie homoseksualistów. Niedawno poseł lewicowej partii Ruchu Poparcia Palikota, Robert Biedroń, otwarcie mówiący o swojej orientacji przedstawił wypowiedź na temat traktowania homoseksualistów w Rosji.

homoseksualistów i transseksualistów. Ciągłe pojawiają się propozycje ustaw o związkach partnerskich od skrajnie lewicowych partii. Tylko czy w czasie kiedy mamy w Polsce taką sytuację gospodarczą i natychmiastowej interwencji wymagają takie sprawy jak szkolnictwo, rynek pracy czy służba zdrowia, związki partnerskie mają jakiegokolwiek, chociażby minimalne znaczenie?

Społeczeństwo polskie i kontrowersyjne poglądy

Myślę, że warto jest przedstawić ogólny stosunek społeczeństwa do homofobii. Na przykład według

brytyjskiego czasopisma „Guardian” polskie społeczeństwo „przywykło do postępowania z ludźmi, których fizyczny wygląd i światopogląd mieszczą się w pewnych granicach. Odróżnianie się jest traktowane czasem ze sceptycyzmem lub nawet wrogością”. Nie sposób zaprzeczyć temu stwierdzeniu. Niedawno prowadziłam ożywioną dysputę ze znajomymi na temat homofobii. Wielu z nich nie zaważało się przyznać do tego, że nie jest i nie będzie w stanie zaakceptować takiego odejścia od norm jakim jest homoseksualizm. Podczas wygłaszania konstruktywnej krytyki wobec działań ogółu i wymiany poglądów spytałam jednego z rozmówców: Jaki jest synonim słowa homofob? Odpowiedział niemalże bez chwili zastanowienia „normalny człowiek”. Bardzo mocne i odważne stwierdzenie. Szczerze mówiąc nie był to pierwszy raz kiedy spotkałam się z podobną opinią. Ale dowodzi to tego, jak świadomi są ludzie i jak silnie ugruntowane są ich poglądy na te sprawy.

Przyczyny homofobii od podszewki

Niewątpliwie kolejnym pytaniem wymagającym odpowiedzi jest to dlaczego mamy w sobie nie tyle nienawiści, co niechęci do homoseksualistów? Otóż według mnie jest to właśnie efekt odwrotny do zamierzonego kampanii przeciw homofobii i tym podobnych przedsięwzięć. Może gdyby zostawić to wszystko w spokoju? Przestać porywać się z motyką na słońce i marnować czas i pieniądze na kampanie, które i tak nikogo nie obchodzą oprócz tych, których dotyczą? Pogodzić się z faktem, że nigdy wszyscy nie będą akceptować homoseksualizmu i nie uznają go za normalny?

Nie sądzę żeby to było możliwe ale na pewno zmniejszyłoby niechęć społeczeństwa. Ponieważ statystyczny obywatel-konformista nie interesuje się takimi sprawami dopóki protestujący homoseksualiści nie zaczną mu machać sześciokolorową flagą przed nosem domagając się poparcia i akceptacji. W takim wypadku nawet taki nieangażujący się obywatel zacznie pałać niechęcią i zacznie walczyć o to, by

zaprzestano żalonych prób uzyskania przywilejów przez grupę, która go kompletnie nie obchodzi. Zatem moim zdaniem podejmowanie tego rodzaju działań wywołuje dokładnie odwrotny skutek niż zamierzony. Kolejnym czynnikiem, który może wpływać na rosnącą niechęć społeczeństwa może być to, że pary homoseksualne domagają się prawa do wychowywania dzieci. Co za tym idzie także prawa do adopcji oraz wykonywania zabiegu in vitro, który sam w sobie budzi wiele kontrowersji. Jakie wzorce przyjmuje dorastający człowiek, który ma dwóch „tatusiów” czy dwie „mamusie”? Czy tak wychowane dziecko nie uzna po jakimś czasie, że nie jest to anomalia a zwykła rodzina i naturalny stan rzeczy? Jak zostanie ono przygotowane do dorosłego życia w społeczeństwie? To już jest bezspornie poważny problem i argument za tym, że pary jednej płci nie powinny zawierać związków małżeńskich.

Obywatelu, bądź świadomy!

Podsumowując tolerancja jest pojęciem względnym i rozumianym przez każdego świadomego obywatela inaczej. Natomiast homofobia ściśle z tolerancją związana jest zawsze tym samym. Pisząc o tym szalenie trudno jest być bezstronnym, szczególnie jeśli ma się ugruntowane poglądy na ten temat. Oczywiście najłatwiej jest iść za większością i obrać jednak postawę nieświadomego obywatela, który wierzy we wszystko co narzuca mu mass media. Jednak nie o to tu chodzi. Uważam, że mimo iż są rzeczy w Polsce o wiele ważniejsze, wymagające zmian warto również zapoznać ludzi ze zjawiskami które tak czy inaczej mają miejsce. Każdy ma prawo do miłości takiej jakiej chce oraz do szczęścia osiągniętego w taki sposób, jaki uważa za słuszny. Mimo tego, zjawisko homofobii było, jest i będzie. Najważniejsze by skupić się na przyczynach i na tym, jak dalej reagować na bieżące wydarzenia. Powinniśmy zatem otwarcie bronić swoich przekonań czy może po prostu należy *ex malis eligere minima** i nie wychylać się? Tę kwestię pozostawiam do oceny czytelnikowi.

My, dzieci z fejsa

Edukacja | Nasza generacja jest generacją portali społecznościowych, bez których wkrótce nie będziemy się mogli obejść. Jakie mogą być tego konsekwencje?

Franciszek Drąg | franciszek.drag@outlook.com

Do sieci całkiem niedawno trafiło nietypowe lustro, w którym niejedyn mógłby się przejrzeć. Z pewnością nie każdy zobaczy w nim swoje odbicie – chwiała tym, którzy nie będą mogli dojrzeć analogii między widzianym obrazem a swoją osobą. Bo to lustro pokazuje bolesną i niewygodną prawdę o naszej generacji, o generacji niewolników portali społecznościowych.

Lustrem jest wrzucony we wrześniu do sieci siedemnastominutowy film zatytułowany Noah, którego akcja w całości została umieszczona na ekranie komputera i iPhone'a. Bohater przeskakuje z zakładki na zakładkę, od fejsa do youporn, od skajpa do chatroullete. Nie byłoby w tym niczego złego (tak mi się wydaje), gdyby nie to, że gdzieś pomiędzy tym wszystkim znajdują się inni ludzie. Gdzieś między zakładką z pornografią a wyszukiwarką obrazów google. I chociaż Noah świetnie sobie radzi z ogarnięciem wszystkich działań, trochę gorzej mu idzie przeprowadzanie szczerej, sensownej rozmowy. W Noah wystarczy małe niedopowiedzenie, by zakończyć związek. Wystarczy nagle przerwać rozmowę, odczytać wiadomość i pozostawić ją bez odpowiedzi i już sprawa się rypie. Nie trzeba rozmawiać, wystarczy zmienić zdjęcie profilowe i wszystko układa się w sensowną całość.

Zaraz, zaraz, ale czy tylko w Noah?

Chyba byłbym niespełna rozumu, gdybym starał się dowodzić, że ten film mówi nam o naszej rzeczywistości coś nowego, czego nie wiemy. Nic z tych rzeczy. Stara się nas po prostu lekko szturchać. Czy

naprawdę nie przeszkadza nam, że rozmowa na fejsbuku potrafi zastąpić szczerą rozmowę? Że przez internet potrafimy powiedzieć sobie więcej niż twarzą w twarz? Że zamiast sobie coś wyjaśnić, wolimy bawić się w kotka i myszkę? Że we współczesnym świecie najwyższą formą zaufania może być podanie swojego hasła do fejsa drugiej osobie? Serio?

Portale społecznościowe z założenia mają łączyć ludzi, ale można odnieść wrażenie, że, paradoksalnie, jest całkowicie na odwrót. Chyba żadna inna forma komunikacji nie wyraża sobą tak ogromnego braku szacunku dla drugiej osoby i chyba żadna inna forma komunikacji nie daje tak ogromnego pola do manewru dla chamstwa, oszustwa czy przysłowiowego chowania głowy w piasek. Pozwala też na budowanie własnej, lecz nieprawdziwej tożsamości ułatwiającej ucieczkę od rzeczywistości. Bo czy w którymkolwiek momencie historii świata było tyle zamkniętych w sobie osób, ile jest w tym 21 wieku, w którym można istnieć bardziej w wirtualu niż realu?

To fakt – jesteśmy niewolnikami fejsbuka, bo coraz trudniej jest nam się bez niego obejść, a być może za kilka(naście) lat będzie to niemożliwe. I nie chodzi o to, żeby być rebelmem i usunąć wszystkie konta. Ale chodzi o to, byśmy wśród całego tego wszechogarniającego natłoku szans i możliwości nie zapomnieli, że w tym wszystkim przecież powinno chodzić przede wszystkim o nas i o drugiego człowieka.

O życie offline.

Pieniądz rządu

Karolina Konfederak | karolina.konfederak@wp.pl

Niedawno miałam okazję obejrzeć film pod tytułem *Paranoja* w reżyserii Roberta Luketica. Nie ukrywam, że głównym powodem, dla którego zdecydowałam się iść w piątkowy wieczór do kina właśnie na ten film była doborowa obsada. Nierzadko jest tak, że to właśnie obsada potrafi zagwarantować, że film będzie co najmniej nie najgorszy. Tak było właśnie w tym przypadku. W rolach „czarnych charakterów” możemy zobaczyć Harrisona Forda oraz Gary’ego Oldmana, którzy tutaj niestety nie mieli zbyt dużego pola do popisu. W roli głównej wystąpił młody aktor Liam Hemsworth znany między innymi z roli Gale’a Hawthorne z cieszącą się coraz większą popularnością serii *Igrzyska śmierci*. Na ekranie partneruje mu Amber Heard która grała już u boku Johnny’ego Deppa czy Nicolasa Cage’a. Heard niestety, nie rzuca na kolana swoją grą aktorską natomiast Hemsworth bardzo pozytywnie mnie zaskoczył. Bardzo podobało mi się jak odegrał postać Adama Cassidy - wyrazistą i ciekawą.

Fabula nie jest szczególnie oryginalna czy skomplikowana. Młody, zdolny, ambitny, głodny sukcesu i pieniędzy Adam Cassidy zostaje zatrudniony w ogromnej korporacji Nicholasa Wyatta zajmującej się nowymi technologiami. Już na początku otrzymuje ubrania, samochody, gadzety i apartament warte miliony dolarów. Jednak wcale nie jest to spełnienie jego marzeń jak mu się najpierw wydawało. Ma on bowiem być szpiegiem w konkurencyjnej firmie byłego mentora Wyatta - Jocka Goddarta. Jest nieustannie inwigilowany i rozliczany ze wszystkiego a jego zadaniem jest przeniknięcie w strukturę firmy i wykradnięcie prototypu nowego rewolucyjnego smartfona. Gdy Adam chce się wycofać jest

już za późno ponieważ gra toczy się o bajorńskie sumy oraz władzę. Mimo, że film utrzymuje tempo i jest zrobiony w dość ciekawy sposób to nadal nie zachwyca. Idealny dla gadzeczarzy i ludzi którzy są „w temacie” jeśli chodzi o nowinki technologiczne oraz postęp w zakresie nowych technologii. Film w jednoznaczny sposób ukazuje świat elit, ludzi sukcesu. Oglądając go dochodzimy do wniosku, iż wszyscy oni są nieuczciwi, fałszywi i bez skrupułów. Czy jest to właściwe podejście? Pozostawiam do oceny czytelnikom. Jako, że jest to wysokobudżetowy hollywoodzki hit nie można narzekać na brak rozmachu, jednak nie zrekompensuje to przeciętnej fabuły i przewidywalności filmu. Muzyka była tak dobrana, że szczerze mówiąc pięć minut po obejrzeniu już jej nawet nie pamiętałam. Po przesłuchaniu ścieżki dźwiękowej stwierdzam, że nie była specjalnie udana. Mimo to nie przeszkadzała w odbiorze filmu.

Podsumowując *Paranoja* jest filmem dobrym do obejrzenia w celu zrelaksowania się samemu bądź też z przyjaciółmi. Wybierając się do kina nie ma co liczyć na ambitne arcydzieło. Ot taki sobie film sensacyjny z wątkiem miłosnym mający na celu zapewnienie odbiorcy rozrywkę. Mimo, że łatwo przewidzieć kolejne wydarzenia, nie sposób się znudzić czy szczególnie rozczarować. Myślę, że każdy znajdzie coś dla siebie. Dziewczyny bezspornie docenią przystojnego Liama Hemswortha, chłopcy pomysłowe gadzety, czy szybkie samochody, a fani filmów sensacyjnych szybkie tempo akcji. Polecam obejrzenie filmu *Paranoja* jednak zachęcam również do spojrzenia na ten film z lekkim przymrużeniem oka i dystansem.

Niesamowicie blisko, niesamowicie subtelnie

Film | Wyjątkowa gra aktorska, nietypowe zakończenie, perfekcyjna muzyka i niezwykle delikatny temat. To właśnie najnowszy film Małgości Szumowskiej.

Weronika Kursa

Najnowsza produkcja Małgości Szumowskiej *W imię...* to nie tylko kontrowersyjny film nagrodzony Srebrnymi Lwami na 38 Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Nie jest to też forma antykatolickiej propagandy, jak niektórzy mogliby szybko i bezlitośnie ocenić, czasem zapewne bazując wyłącznie na opisie czy zwiastunie. Nie chodzi też o wywołanie skandalu ani dyskusji w społeczeństwie dotyczącej kondycji chrześcijaństwa w naszym kraju. Nie ma tu także wyznaczania granicy: to jest dobre, to jest złe, tak być powinno, a tak nie. To jest „jedyne” opowieść o głódzie bliskości, o zmaganiach księdza homoseksualisty między swoim powołaniem a namiętnościami, które w nim drzemią, tak jak w każdym innym człowieku.

Gdzieś daleko na wschodzie Polski, w małej wiosce zamieszkałej na ogół przez religijnych ludzi, poznajemy skromnego i wyrozumiałego księdza Adama (który niedawno został tu przeniesiony) i jego podopiecznych z ogniska dla trudnej młodzieży, a także kilkoro miejscowych – między innymi - drugiego opiekuna nastolatków, jego żonę Ewę – zauroczoną w Adamie; i wreszcie Dynię – chłopaka, którego połączy szczególna więź z głównym bohaterem. Obraz od początku nie jest sielankowy – chłopcy oczywiście sprawiają kłopoty wychowawcze, a i Adam próbuje jakoś odnaleźć się w nowym miejscu – niechciane myśli zabija codziennym bieganiem, które, według mnie, nadaje specyficzną atmosferę ucieczki w głąb siebie; staje się niejako przerywnikiem dla widza, który tak samo jak bohater, musi uspokoić

kotłujące się w nim emocje. (Tajemniczy, niekończący się las metaforą wyobcowania? Brawa dla Michała Englerta, za tak wnikliwe ukazanie scenerii). Śledząc sytuację dzień po dniu zostaje nakreślony zwyczajny portret zbuntowanych nastolatków i pełnego empatii opiekuna. Jednak... krok za krokiem widz „wchodzi” w zakamarki psychiki głównej postaci, samotnej, niezrozumianej.

I tak oto subtelnie zostajemy wprowadzeni w najbardziej intymne oblicze człowieka: pokazana zostaje scena masturbacji; moment, w którym trochę dzięki, równie niezrozumiany przez otoczenie Dynia przychodzi zakrwawiony do Adama – upragniona bliskość, która wytwarza się poprzez - tak zwyczajne przecież - opatrywanie ran; kolejne ujęcie – nauka pływania, kiedy Adam utrzymuje chłopaka na wodzie – zwykła rzecz, prawda? A jednak w tej chwili pokłada się stuprocentowe zaufanie w jednej osobie. Jak wielu z nas ma kogoś, komu może powierzyć swoje bezpieczeństwo, oddać się bezgranicznie w czyjeś ręce? To właśnie dlatego ten film jest nieustanną grą na emocjach chyba każdego z nas; w prosty sposób pokazuje nam, to za czym (tak samo jak bohaterowie) tęsknimy, do czego trochę łgniemy. Z drugiej strony nie ma tu żadnej nachalności, scena kulminacyjna, w której dochodzi w końcu do zbliżenia fizycznego – jest delikatna, wzruszająca. Widz chce, by wszystko skończyło się dobrze (o ile takie zakończenie jest w ogóle możliwe); chce by w jakiś sposób to się udało.

Wreszcie nie należy zapomnieć o, w moim przekonaniu, jednej z ważniejszych scen – rozmowy Adama z siostrą. Skontrastowany absolutny brak zrozumienia ze strony najbliższej osoby z rozpaczliwym pijanym krzykiem, skargą – „ja też się przyzwyczajam! (...) chciałem się tylko przytulić”; i chyba najmocniejsze, gorzkie – „nie jestem pedofilem, jestem pedalem”. Ukazane zostaje cierpienie człowieka, który wierzy w Boga, nie krzywdzi innych ludzi i stara się wypełniać swe obowiązki najlepiej jak potrafi, a jednocześnie nie może poradzić sobie z własnym homoseksualizmem. Zagubiony, odosobniony, nie wie, czy da się – czy w ogóle – można – pogodzić swoje najskrytsze (i przecież przy tym tak powszechne, normalne!) pragnienia z wiarą i wyznawanymi zasadami. Ta wewnętrzna walka pokazuje skomplikowaną, głęboką osobowość.

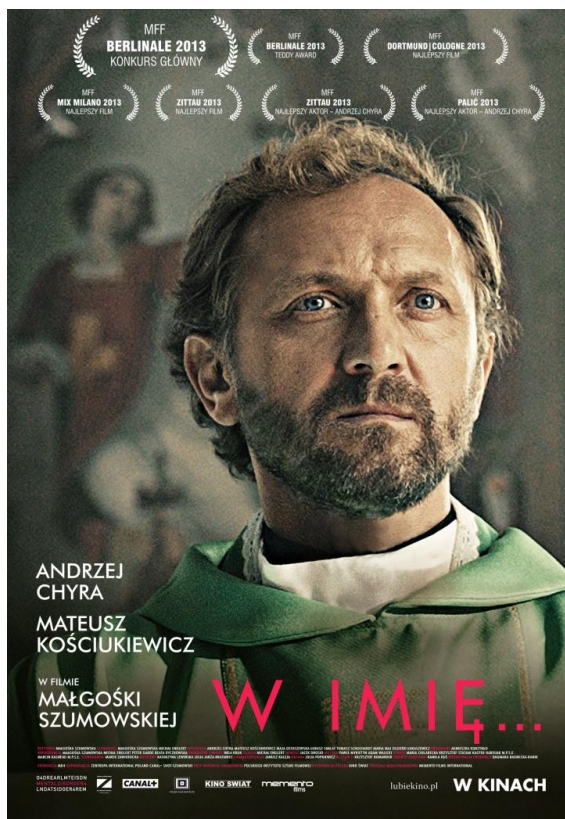
I tu czas najwyższy aby wspomnieć o wyjątkowej grze aktorskiej – duet: Andrzej Chyra i Mateusz Kościukiewicz sprawił, że film nabrał specyficznego kształtu, klimatu dzikiej, skrywanej potrzeby miłości, która musi w końcu eksplodować. Intrygującym momentem było odgrywanie małp, bawiących się w polu kukurydzy – to wymagało dużego dystansu do siebie, pokazało inne oblicze bohaterów, którzy też potrafią zachowywać się beztrudnie i na chwilę zapomnieć o konwenansach i problemach. Oczywiście sama scena stosunku – uważny widz wyczuje pozytywne napięcie, które wytworzyło się pomiędzy odtwórcami tych ról, bądź co bądź – trudnych i wymagających dużych zdolności. Pojawia się też ciekawe rozwiązanie, które wydaje się nieco ryzykowne,

a na które bezpardonowo postawiła reżyserka – Dynia przez cały film wypowiada, być może, jedną kwestię. Czy to dodatkowy atut czy wada? Moim zdaniem atut, bowiem daje większe pole do popisu dla aktora, który musi wyrazić swą postać czasem nawet jednym spojrzeniem (jak w przypadku sceny podpalenia sklepu Niagara). Co istotne, całość nie byłaby tak realistyczna gdyby zabrakło tu chłopców z ogniska – bardzo naturalnych, idealnie wpasowujących się w obraz trudnej młodzieży, której też nie brak rozterek dotyczących własnej orientacji.

Kolejnym istotnym aspektem jest muzyka. Perfekcyjnie dobrany motyw do scen między Adamem i Dynią; prosta i mocna w przekazie melodia towarzysząca codziennemu bieganiu; wreszcie moment, w którym odurzony alkoholem Adam tańczy z wizerunkiem papieża – zdaje się, że nuty idealnie komponują się z każdym ujęciem, z każdym wyrazem twarzy, z każdym uczuciem. Mimo to nie mogę oprzeć się wrażeniu, że czasem

zbyt natarczywie sterowane są emocje widza, co niepotrzebnie zakłóca odbiór. W moim przekonaniu, miało to miejsce w scenie procesji, która została opatrzona trwającą kilka minut piosenką z pogranicza indie rocka. Czy nie za dużo?

Wreszcie zakończenie, nietypowe i niejednoznaczne. Szumowska pozostawia dowolną drogę interpretacji, niczego nie narzuca, nie odpowiada na żadne pytania. I znów: to kolejny plus jej dzieła czy minus? Wybór pozostawiam widzom, natomiast w mojej ocenie to film mocny, głośny, a mimo to nadal bardzo subtelny i, nieważne jak kontrowersyjny, wciąż bardzo bliski każdemu z nas.



Film Jobs nie zachowuje proporcji

Film | Nakręcić film o Stevie Jobsie to zadanie bardzo trudne. W przypadku produkcji Matta Whiteley'a i Joshua'y Sterna wyszło tak sobie.

Jan Fabian Woźniak | twitter.com/janfabwoz

Steve Jobs to postać tak wyrazista, że do filmu o nim trudno mieć obojętny stosunek. Życie Jobsa to podręcznikowy przykład amerykańskiego snu. W 1976 roku w garażu rodziców założył z kolegą Stevem Wozniakiem firmę Apple, a zaledwie kilka lat później miał na koncie dziesiątki milionów dolarów i luksusową siedzibę swojej firmy. Współpraca i życie z nim stanowiło ogromne wyzwanie, bywał irytującym dupkiem. Stale okazywał swoją pogardę dla ludzi, którzy nie rozumieli jego filozofii w projektowaniu produktów. Jednocześnie patrzył na świat inaczej niż wszyscy, potrafił porwać tłumy, przekonać do siebie inwestorów i wykreować produkty, które stawały się ikonami popkultury.

Film ujął te wszystkie elementy życia Jobsa, ale nie zachowując odpowiednich proporcji. Odniosłem wrażenie, że Matt Whiteley (scenariusz) i Joshua Michael Stern (reżyseria) skupili się na mrocznej stronie charakteru założyciela Apple. Osoby, które o jego dokonaniach mają nikłe pojęcie, po obejrzeniu filmu stwierdzą, że Jobs założył jedną z wielu amerykańskich firm komputerowych, podle traktował osoby, które nie rozumiały jego dbałości o szczegóły, mścił się na wrogach i porzucił własną córkę.

Twórcy pominęli kilka istotnych wątków niezbędnych zrozumieniu wizjonerstwa Jobsa. Umniejszono rolę Paula Jobsa, ojca Steve'a, który nauczył go dbałości o najdrobniejsze nawet elementy. Nie pokazano wizyty w Xeroxie, już wtedy gigantycznym koncernie, którego dział naukowy stworzył mysz komputerową i graficzny interfejs użytkownika - wynalazki, w których Jobs natychmiast zobaczył doskonałe rozwiązania i zaimplementował je w swoich produktach.

Prawdą jest, że Jobs nie stworzył żadnego z produktów sam. Właściwie można bez dozy przesady stwierdzić, że w ogóle nie znał się na komputerach na tyle, by móc je bez pomocy Wozniaka i innych współpracowników zaprojektować. Niektóre pomysły bezczelnie podkradł Xeroxowi, które zresztą bezmyślnie sam Xerox mu pokazał. Mimo to, w filmie brakuje mi ukazania wkładu jaki w rozwój Macintoshów i iPodów wniósł Steve. Brakuje mi jego wizjonerstwa, jego staranności i niesamowitej zdolności nazywanej przez współpracowników polem zniekształcania rzeczywistości.

Nie najgorzej został w filmie przedstawiony sam Steve. Uważam, że po produkcjach takich jak *Stary*,

gdzie jest moja bryka, czy Co się zdarzyło w Las Vegas film Jobs to rola życia Ashtona Kutchera. Zanim poszedłem do kina miałem ogromne wątpliwości co do obsadzenia go w tej roli, zdołał mnie jednak do siebie przekonać. Świetną robotę wykonali specjaliści od charakteryzacji. Gołym okiem widać także, że wiele czasu poświęcił na studiowanie ruchów, gestykulacji i ekspresji Jobsa. Zdecydowanie przesadził z naśladowaniem chodu, który wyglądał wręcz jak parodia, ale poza tym nie mam zastrzeżeń.

Bezideowego, pozbawionego wyobraźni biznesmena, który wysadził Jobsa z siodła i odebrał mu firmę, zagrał Jonathan K. Simmons. Wyjątkowo pasował do swojej roli, i nie pasował do pracy w Apple. Czyli wszystko się zgadza.

Niemal epizodyczną, ale uważam, że szalenie wiarygodną rolę zagrał brytyjski aktor Giles Matthey. Szczupły Giles mało przypominał Jonathana Ive'a, który jest człowiekiem ogromnej postury, ale fantastycznie odtworzył gestykulację i sposób w jaki ten mówi. Pojawia się na samym początku i na końcu filmu. Scenarzysta, w moim odczuciu, daje nam do zrozumienia jak istotną dla Apple i samego Jobsa postacią był Jony.

Filmu nie przekreślam, warto obejrzeć, zwłaszcza jeżeli jest się osobą zainteresowaną tematem. Wcześniej polecam jednak przeczytać świetną biografię Waltera Isaacsona, bo obawiam się, że film pomija zbyt wiele wątków z życia Steve'a by pozwolić zrozumieć na czym polegał jego fenomen.



Nagroda Nike dla Joanny Bator

Literatura | W gmachu Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego 6. października wręczona została najważniejsza polska, literacka nagroda. Spośród siedmiu finalistów wybrano zwycięzcę, który otrzymał 100 tys. złotych i statuetkę Nike autorstwa Gustawa Zemły. Fundatorami nagrody są *Gazeta Wyborcza* i Fundacja Agora.

Olga Wesołowska

Nagroda Nike jest wręczana w Polsce już od 1997 roku. Wymyślono ją jako promocję polskiej literatury współczesnej. Do nagrody nominowane są różne gatunki m.in. esej, reportaż, biografia, powieść, poezja. Zwycięzca jest wyłaniany w trakcie dwóch etapów. W pierwszym jury ogłasza 20. kandydatów, a w drugim wybiera z nich siedmiu finalistów. Ostateczny werdykt jest przekazywany w trakcie trwania gali, a zapada kilka godzin wcześniej. Oprócz nagrody jury swoje wyróżnienie przyznają czytelnicy *Gazety Wyborczej*.

W tym roku do grona finalistów weszły cztery powieści (*Ciemno, prawie noc* - Joanny Bator, *Patrz na mnie, Klaro!* - Kai Malanowskiej, *Noc żywych Żydów* - Igora Ostachowicza, *Morfina* - Szczepana Twardocha), tom poetycki (*Bach for my baby* - Justyny Bargielskiej) książka reportażowa (*Mokradetko* - Katarzyny Surmiak-Domańskiej) i nowość, jeśli chodzi o nagrody Nike czyli komiks (*Przygody na bezludnej wyspie* - Macieja Sieńczyka).

6. października na gali finałowej transmitowanej przez Program Drugi Telewizji Polskiej poznaliśmy tegorocznego laureata. Jury, w którego skład wchodziły wybitne osobistości ze świata kultury i sztuki, zdecydowało nagrodzić Nike powieść *Ciemno, prawie noc* Joanny Bator. Czytelnicy *Gazety Wyborczej* postanowili wyróżnić *Morfinę* autorstwa Szczepana Twardocha.

Zwycięska powieść Joanny Bator to mroczny thriller rozgrywający się współcześnie na Dolnym Śląsku. Ukazana w niej Polska jest krajem przemocy, biedy

i szalonych polityków. Kryminalny wątek posłużył jedynie do metaforycznego przedstawienia upadku dużego miasta – Wałbrzycha.

Morfina Szczepana Twardocha to powieść, której akcja rozpoczyna się tuż przed wybuchem II wojny światowej. Główny bohater to morfinista, hedonista. W głowie zaczyna słyszeć kobiecy głos, który staje się drugim narratorem powieści. *Morfina* porusza problematykę polskiego mitu narodowego i polskiej tożsamości.

„Krytyka zaszeregowała twórczość warszawskiej pisarki do przegródki z tzw. literaturą psychologiczną (...) Malanowska daleko wychodzi poza koleiny gatunkowe. Wybiera bohaterki krańcowo codzienne, a jednak na granicy codzienności gotowe osunąć się w - no właśnie, w co? - w przepaść, w obsesję, a może właśnie w codzienność i "normalność"?” – tak o książce *Patrz na mnie Klaro!* napisał w nominacji pisarz Ignacy Karpowicz.

Igor Ostachowicz (pracuje jako doradca medialny premiera Donalda Tuska) zadebiutował odważnym moralitetem *Noc żywych żydów*, w którym miesza się współczesny i przedwojenny antysemityzm.

Justyna Bargielska jest już po raz drugi nominowana do nagrody Nike, tym razem za tomik poetycki. Poetka znowu wciąga czytelnika w swój świat i opowiada mu o miłości, śmierci, problemach metafizycznych.

Mokradetko autorstwa Katarzyny Surmiak-Domańskiej to reportaż o seksualnej przemocy.

Pierwszy w historii nagrody Nike komiks, który dotarł do ścisłego finału, to opowieść o mężczyźnie wyruszającym w podróż do Afryki Południowej. Na jego nieszczęście zostaje rozbitkiem na wydawałoby się bezludnej wyspie.

W przeszłości laureatami nagrody Nike zostawali m.in. Czesław Miłosz, Andrzej Zagajewski, Tade-

uszRóżewicz, Olga Tokarczuk, Andrzej Stasiuk i Wiesław Myśliwski. A w tym roku do grona dołączyła Joanna Bator, której twórczość była doceniana przez jury fundacji już wcześniej. Autorka została finalistką w 2011 roku ze swoją powieścią *Chmurdaia*, a w 2010 jedynie nominowana za książkę *Piaskowa Góra*.

Niezwykły świat

1776 stóp

będzie miał One World Trade Center, wieżowiec, który powstaje w miejscu zniszczonych nowojorskich biurowców WTC.

125 mln ludzi

w zaokrągleniu urodziło się na świecie w tym roku. Jednocześnie 55 mln ludzi zmarło. To daje około 70 mln przyrostu naturalnego.

8 milionów

internautów oglądało na żywo transmitowany w serwisie YouTube skok Feliksa Baumgartnera.

4 miliardy godzin

materiałów w serwisie YouTube oglądają każdego miesiąca internauci. Najpopularniejszym wideo jest teledysk Gangnam Style.

50% Polaków

czyta regularnie wiadomości na portalach internetowych. To więcej niż tych oglądających dzienniki w telewizji.

57 milionów aut

łącznie wyprodukowano na świecie w tym roku. Co ciekawe w tym samym okresie wyprodukowano 129 mln rowerów.

68,8 proc. e-maili

to spam. Ponad 50% tych wiadomości to maile dotyczące rynku farmaceutycznego.

Miliard

użytkowników odwiedza Facebooka regularnie. Dziennie przybywa też 2,7 miliarda lajków i 300 milionów zdjęć.

52 lata minęły

od pierwszego lotu człowieka w kosmos. 12 kwietnia 1961 roku Jurij Gagarin okrążył Ziemię w statku kosmicznym.

3 miliardy razy

dzisiaj wyszukiwano w Google. Wysłano 306 miliardów wiadomości e-mail i opublikowano prawie 4 mln wpisów na blogach.

634 miliony

jest stron internetowych na świecie. Z tego 87,8 milionów to blogi.

Ponad 63 proc.

mieszkańców Europy posiada regularny dostęp do internetu. To i tak znacznie mniej niż w Chinach.

Źródła: pingdom.com, netmarketshare.com, tech.wp.pl i inne.



W pogoni za mózgiem

Artur Malec | arturm42@gmail.com

Filmy, książki, seriale, gry komputerowe, komiksy. Z każdego zakątka czuć swojskim zapaszkiem zgnilizny i śmierci. Zombiaki opanowały każdy element popkultury i każdy zakątek internetu. Dzięki Zombie walkom możemy je spotkać nawet na ulicach realnego świata.

Jak to się stało, że rzecz z pozoru tak nieciekawa i odpychająca jak trup, budzi tyle emocji i zainteresowania?

Zombie prehistoryczne

Cofnijmy się zatem do czasów przed Georgem A. Romero (o tym panu za moment) i jego pierwszymi filmami o umarlakach. Samo pojęcie „zombie” wywodzi się z haitańskiego kultu voodoo, gdzie oznacza ciało pozbawione duszy w magicznym rytuale lub też ciało wskrzeszone już po opuszczeniu ciała przez duszę, w celu stworzenia niewolnika.

Był to więc rodzaj klątwy. W tym momencie możemy już zauważyć znaczące różnice między prawdziwym zombie a dzisiejszym umarlakiem. Na Haiti zombie to złe zaklęcie czyniące z ofiary niewolnika, w popkulturze mamy najczęściej ogólnoswiatowe zarazy - prawdziwe apokalipsy i ataki niepowstrzymanych drapieżników nad którymi nikt i nic nie może zapanować.

Różnice te, choć można je tłumaczyć potrzebą spektakularności, o czymś jednak świadczą. Coś sprawia że są atrakcyjne dla publiczności.

Renesans umarlaków

Zombie takie jakie znamy je współcześnie pojawiły się w roku 1968, w *Nocy żywych trupów* Georga A. Romero. O tym facecie niedługo będą się uczyć dzieci w szkołach! To dzięki niemu słysząc słowo zombie widzimy oczami wyobraźni hordę nadgnitych i poruszających się jakimś cudem, ludzkich zwłok uganiających się za tymi bardziej żywymi ludzkimi przekąskami. George miał wielki wpływ na historię, nie tylko kina ale popkultury jako takiej.

Udało mu się wprowadzić coś czego wcześniej nie było w kinie grozy. Jego filmy jako pierwsze wśród horrorów odwoływały się do konwencji kina dokumentalnego. Groza nie narastała powoli, dostawało się nią w twarz wraz z pierwszym umarlakiem, który prawie zagryzł na śmierć jednego z bohaterów. Nie było jednego do końca określonego monstrum czy zjawy. Była całkiem realna horda niedawnych sąsiadów, często kobiet, dzieci i starców, którzy chcą rozzerwać na strzępy ocalałych. Ci z kolei to grupka przypadkowych ludzi którzy znaleźli się w tej samej kryjówce. W takiej grupie mógł znaleźć się każdy, a więc widz utożsamiał się z bohaterami i zadawał sobie pytanie co sam zrobiłby w podobnej sytuacji.

George A. Romero zrewolucjonizował naszą popkulturę i został ojcem całego gatunku kina. Został ojcem wszystkich zombiaków. Bez niego dzisiejsze kino literatura i telewizja wyglądałyby zdecydowanie inaczej.

Żywe trupy skłaniają do refleksji?

Sequel *Nocy żywych trupów – Świt żywych trupów* niektórzy krytycy orzekli mianem „horroru społecznego”. Akcja filmu rozgrywa się w opustoszałym centrum handlowym gdzie grupa ludzi schroniła się przed dobijającą się do środka nawałą nieumarłych. Zombie wiedzione do sklepów jakby instynktem przezwyłączającym klątwę. Jeden z bohaterów stwierdza: „to miejsce pełniło w ich życiu tak ważną rolę”.

Film ma tak jednoznaczny przekaz że jeden z polskich krytyków Marek Haltof w książce *Kino Łeków* (1992) napisał, że „najlepszą wersją objaśniającą jest ta stawiająca znak równości między społeczeństwem zombich, a społeczeństwem konsumpcyjnym. Moloch konsumpcji pożera swoje kolejne ofiary (kaniibalizm), a świat ludzi wolnych jeszcze od tej choroby kurczy się w zastraszającym tempie”. I dalej: „film Romero jest najmocniejszym, najbardziej dosadnym atakiem na konsumpcyjny styl życia”.

W innych filmach Romero też można doszukać się aluzji do współczesnego społeczeństwa. W *Nocy żywych trupów* mamy nawiązanie do problemu rasizmu na amerykańskiej prowincji - czarnoskóry bohater po całonocnej walce z umarlakami ginie z ręki człowieka. Za to w *Ziemi żywych trupów* mamy ukazaną walkę klas nasuwającą na myśl Rewolucję Październikową.

Apokalipsa zombie dzisiaj

Choć Romero wymyślił żywe trupy, to Danny Boyle i jego *28 dni później* wprowadził zombie w XXI w. Za sprawą brytyjskiego obrazu o żywych trupach znów zaczęło być głośno. Mało tego, do dziś dzięki tej produkcji trwają dysputy, który zombiak jest lepszy, a raczej gorszy – powolny, ale nieustępliwy, jak u George'a, czy może szybki, ale bardziej delikatny, jak u Boyle'a.

Reżyser *28 dni później* zadbał też o uzdolnionych aktorów z doświadczeniem teatralnym, dzięki czemu akcja zyskała na dramatyzmie. Duży plus należy się

także za scenografię – widok opustoszałego Londynu na długo pozostaje w pamięci.

Nowa jakość

Technicznie rzecz biorąc u Boyle'a wcale nie mamy do czynienia z umarlakami. Tam zagrożeniem są żywi ludzie zainfekowani tajemniczym wirusem – nową odmianą wścieklizny. Mimo tej różnicy zasada pozostaje ta sama – ocaleni uciekają, zombie gonią i zjadają, lecz epidemie wirusów, czy nawet pandemii (czyli ogólnoświatowa epidemia) to realne zagrożenie. Dżuma, ospa prawdziwa, cholera, hiszpanka, czy HIV. Ludzie od zawsze obawiali się chorób więc *28 dni później* wprowadzając do akcji wirusa trafiło w dziesiątkę.

Zombie w śmiesznym stylu

W historii kina mamy też parę całkiem udanych prób parodii gatunku, jak np. *Zombieland* Rubena Fleischera (polecam!), czy *Shaun of the Dead*. Oba filmy odniosły sukces co udowadnia, że parodiowanie gatunku który sam niekiedy jest komedią również zdobywa zainteresowanie widzów.

Muzykalne zombie

Umarlaki mają też swój wkład w przemysł muzyczny. Nagrano dziesiątki teledysków z żywymi trupami. Najbardziej znanym przykładem jest teledysk *Thriller* Michaela Jacksona, gdzie zobbie wyjątkowo nikogo nie zjadają, ale..... tańczą.

Od książek też ciągnie trupem

Wbrew pozorom nie chodzi tu wcale o niekiedy nieciekawe i niedzisiejsze lektury szkolne, a o książki i komiksy zainfekowane zombizmem. Na tym polu najbardziej chyba znanymi dziełami o tej tematyce są książki Maxa Brooksa (niedawno zekranizowane *World War Z* i całkiem ciekawy *Zombie Survival Guide* – poradnik dotyczący walki z umarłymi) i oczywiście seria komiksów pt. *The Walking Dead*.

World War Z stało się światowym bestsellerem, nakręcono wysokobudżetowy film z Bradem Pittem w roli głównej, co świadczy o tym, że gatunek wszedł

do I ligi szoł-biznesu. Z kolei z *The Walking Dead* nakręcono serial telewizyjny, który również odniósł światowy sukces, dzięki czemu żywe trupy na stałe zagościły w naszych domach.

Spróbuj sam!

Oczywiście zjawisko zombizmu nie mogło ominąć świata gier komputerowych. Można powiedzieć, że w tej dziedzinie rozrywki umarlaki wyjątkowo się zadomowiły.

Gdybym chciał wymienić wszystkie gry wideo w których pojawiają się żywe trupy musielibyśmy z Naczelnym dodać do gazetki cztery dodatkowe kartki.

Umarlaki towarzyszą więc interaktywnej rozrywce od samych jej początków. Z najważniejszych produkcji można wymienić: słynną tzw. strzelankę na szynach pt. *Hause of the Dead*, przerysowaną do granic możliwości *Dead Rising*, emocjonujące *Left4Dead*, kultowy *Resident Evil*, czy cukierkowe tower-defence *Plants vs. Zombies*, nasz rodzimy *Dead Island*, oraz niezliczone gry, w których zombie pojawiają się jako jedni z przeciwników. Ciekawą zamianą ról jest zabawa w *Stubbs-the Zombie*, gdzie dla odmiany sami możemy pokierować umarlakiem.

Zombie po polsku to „zombi”

Oprócz paru krótkometrażowych, amatorskich produkcji, jak np. *Wataha* z roku 2011, Polska nie ma czym się pochwalić w zombie-biznesie. Jedynym rodzimym sukcesem na tym polu jest wspomniana wcześniej gra *Dead Island*, stworzona przez firmę

Techland z Ostrowa Wielkopolskiego, odtwarzająca atak zombie na fikcyjną egzotyczną wyspę w Papui-Nowej Gwinei.

Ukazała się na całym świecie (prócz Japonii, gdzie premierę zaplanowano na późniejszy termin) we wrześniu i w ciągu nieco ponad miesiąca znalazła już około 1,5 mln nabywców, co czyni z niej najszybciej sprzedającą się polską grę wideo w historii. Imponujący jest też ruch na serwerach obsługujących jej wersję online.

Natychmiast ukazała się książka będąca adaptacją fabuły *Dead Island*, a koncern Lionsgate zapowiedział realizację filmu na podstawie polskiej gry. Zresztą po co film? Budżet produkcji Techlandu sięga 40 mln zł – to więcej, niż mają najdroższe polskie produkcje filmowe.

Czeka nas świetlana przyszłość...

Zombie stopniowo opanowały każdy aspekt naszej kultury i wydaje mi się że długo zagrzeją sobie miejsca w naszych sercach. W czasach gdy wampiry i wilkołaki bardziej kojarzą się z romansidłem niż horrorem, a na nasze twarze przywołują raczej uśmiech politowania niż grymas przerażenia, zombie zarówno straszą jak i zachęcają do głębokich refleksji nad sytuacją współczesnego społeczeństwa. Wróżę im wielką przyszłość....

„Człowiek człowiekowi, wilkiem, a zombie zombie, zombie”



Współlokator

To straszny zarozumialec, a do tego żarłok. Jest też uzależniony od kocimiętki.

Żebym nie wyszedł na jakąś istotę bez serca, dopowiem tylko, że on też mnie nie lubi. I ostentacyjnie zostawia sierść na mojej poduszce. I pije wodę z sedesu.

Ja przecież nigdy nie posunąłbym się do tego, by pić mleko z jego miski.

Ewa Budzińska

Mój kot widzi rzeczy, których nie widzi nikt. To nie jest nawet jakiś tam niezwykły kot. Nie umie nawet miauczeć porządnie. Nie wygrywa też żadnych wystaw. Nie byłoby w nim zupełnie niczego specjalnego, gdyby nie widział rzeczy, których nie widzi nikt.

Do niedawna nie miałem pojęcia, że mój kot ma takie zdolności. Nie zwierzał mi się z tego. Przypadkiem się o tym dowiedziałem. Muszę przyznać, że ja za nim nawet nie przepadam. To straszny zarozumialec, a do tego żarłok. Jest też uzależniony od kocimiętki. Żebym nie wyszedł na jakąś istotę bez serca, dopowiem tylko, że on też mnie nie lubi. I ostentacyjnie zostawia sierść na mojej poduszce. I pije wodę z sedesu. Ja przecież nigdy nie posunąłbym się do tego, by pić mleko z jego miski.

W każdym razie usłyszałem, jak on z nimi rozmawiał. Wszedłem wtedy do pralni i dotarły do mnie strzępki rozmowy:

- Tylko pamiętaj, żeby zanadto nie nabrudzić. To linoleum kosztowało majątek...

Nie byłoby w tym zupełnie nic dziwnego, gdyby nie fakt, że przemawiał on do wnętrza pralki. Złął się mnie niesamowicie. Z miną niewinnego kociątka podszedł do mnie nonszalanckim krokiem i z powagą uściśnął mi dłoń na przywitanie. Od tamtej pory mnie unika.

Teraz bacznie go obserwuję. Martwię się o niego. Stracił sporo na wadze, a jego zazwyczaj wyrafinowany gust muzyczny uległ ogromnej zmianie. Zamiast Bacha słucha Mozarta i zdarza mu się pijać jedynie wino półwytrawne, podczas gdy niegdyś jego podniebienie zadowalało się tylko ajerkoniakiem. Muszę też przyznać, że nie fascynują go nawet nowinki dochodzące ze świata mody, a kiedyś przecież nic nie przyciągało jego uwagi bardziej niż nowa kolekcja jesiennych futer. Nie wiem, co może mu jeszcze strzelić do głowy. Nie chcę przecież stracić współlokatora...

Nikt nie widzi mojego kota. Mój kot widzi rzeczy, których nie widzi nikt. Widzę kota, którego nie widzi nikt. Mój kot mnie widzi.

Golem

Poszli do drzwi. Drobna, stalowa siatka brzęczała im pod ciężkimi, roboczymi butami. Minęło jeszcze parę minut, zanim do ghuli dotarł komunikat zakończenia pracy. Ustawili się w równych szeregach i miarowym, powłóczystym marszem opuścili halę. Wszystkie poruszały kończynami w jednym rytmie, ręka przy ręce, noga przy nodze. Gdy miejsce pracy zupełnie się opróżniło, potężne drzwi się zasunęły i w fabryce zapanowała cisza.

Mateusz Chwiałkowski

Evans i Svayne stali na stalowym mostku, przyglądając się ghulom wykonującym machinalnie swoje polecenia przy ponumerowanych stanowiskach. Godzina była bardzo późna i wkrótce praca miała się zakończyć. Halę wypełniał jednostajny szum maszyn. Jeszcze parę lat temu trudno byłoby w tym miejscu dosłyszeć cokolwiek, ale na szczęście modernizacja przyniosła również takie dobrodziejstwa jak redukcja hałasu. Svayne stukał palcem w przyciski na dotykowym interfejsie tabletu, zerkając raz po raz na krzątaninę w dole. Był jednym z kontrolerów jakości pracy. Evans został zatrudniony stosunkowo niedawno i przydzielono go Svayne'owi jako asystenta. Stał teraz wpatrzony w jednego z ghuli, spawającego metalowe szkielety pojazdów za pomocą narzędzia zamontowanego na swoim przegubie.

- Zastanawiałeś się kiedyś nad tym? – mruknął do Svayne'a, opierając się o barierkę. Starszemu kole-dze nie przeszkadzało zwracanie się „na ty”, ale określał Evansa irytującym z innych powodów.

- Czym? – rzucił, podnosząc głowę znad ekranu. Był bardzo zaabsorbowany wprowadzaniem danych i nie przejawiał zbytniego zainteresowania rozmową.

- No, tym. – Evans wskazał palcem ghula ze spawarką.

- Ghul. – Svayne spojrzał w dół hali. – I co? Coś z nim nie tak?

- Nie o to chodzi. Czy... – przerwał, splatając ręce – to w ogóle myśli?

- Nie, no, skąd? Jest przecież martwy. Jego mózg nie funkcjonuje. – Uśmiechnął się pobłaźliwie, ponieważ uznał pytanie kolegi za nieco głupie.

- Jest martwy... – znów zrobił pauzę, tym razem opierając się o barierkę. Czuł jakąś dziwną nerwość. – Ale przecież się porusza.

- Niedokładnie się wyraziłem. Ciało żyje, wskrzeszenie go nie jest niczym trudnym. Mózg za to – nie. – Uśmiešek nie opuścił jego twarzy. Pomyślał, że jego współpracownik musi być solidnie zmęczony, skoro pyta o rzeczy, jakby nie patrzeć, elementarne.

- Aha. Czyli jak – zawahał się, po czym wyraźnie zaakcentował – to w ogóle działa?

- Nie jestem inżynierem, nie wytłumaczę ci tego dokładnie. – Svayne starał się nie zdradzać lekkiego znużenia.

- Gdyby tłumaczył mi to jajogłowy, to pewnie i tak bym nie zrozumiał. – Nie zauważył, że jego współpracownik, słysząc to, uniósł brew. – No, ale ogólnikowo wiesz, o co chodzi?

- Wiem. – Swayne zmarszczył czoło, próbując wstukać coś w tablet. Stracił wątek.

- No, to mów. – Evans ponaglił rozmówcę.

- Trzyma się umarlaka w „lodówce”, – miał na myśli kapsułę kriogeniczną – żeby nie zgnił. A potem wszczepia mu się parę implantów: elektroniczny kontroler do kory ruchowej, bezprzewodowy moduł łączności i na miejsce serca układ rozprowadzający po ciele, nazwijmy to, „płyn podtrzymujący”. Głównie zapobiega rozkładowi. No, i wiadomo, niektórym montują narzędzia.

- No, dobra. Ale skoro ciało jest martwe to nerwy też, nie? To jak ten kontroler może działać?

- Jeśli ktoś się nadaje, to wpisują go na „listę” za życia. Jak tylko umrze, pakują go do „lodowy”, żeby nerwy nie zdechły. Nie uwierzyłbyś, jak szybko łapiduchy po takiego przyjeżdżają. – Swayne doczekał się momentu, w którym Evans zada pytanie warte odpowiedzi.

- Gdyby tylko tak obchodzili ich żywi. – Zaśmiał się gorzko, wnet zawtórował mu kolega.

- Kto wie, czy korporacje ich nie podkupują, żeby wpędzali ludzi do grobu jeszcze wcześniej. – Swayne się skrzywił.

- A właściwie, to po co wykorzystują umarłaków? Przecież mogliby zaprząć do roboty androidy i dziekują. – W tonie Evansa zabrzmiała pretensja.

- No, i to jest właśnie sedno. Wiesz ile kosztuje taki android? – Oderwał oczy od tabletu i patrzył na kolegę, dopóki ten nie udzielił odpowiedzi.

- Nie wiem. – Evans zdjął ręce z barierki i przeciągnął się. – Podejrzewam, że bardzo dużo.

- Trzysta, czterysta tysięcy.

- Pierdzielisz? – Rozwarł powieki nieznacznie szerzej.

- Nie pierdzielę. A taki zombiak kilkanaście razy taniej.

- No, ładnie. – Evans prychnął. – A dlaczego nie mogą pracować bez przerwy?

- Robot musi odładować baterię, trzeba im uzupeł-

nić i odfiltrować ten płyn. No, i rutynowa kontrola układów elektronicznych, czy się przypadkiem takim nie poprzewracało. – Wskazał palcem swoją głowę.

- I w czym ich trzymają? Też w tych „lodówkach”?

- Ta. To znaczy, są nieco zmodyfikowane. Przede wszystkim nie mają luksusów, za to parę narzędzi do monitorowania.

Evans zamilkł. Patrzył jeszcze przez parę chwil na mozół ghuli, po czym obrócił się na pięcie i skierował wzrok na Swayne’a. Ten przejrzał ostatni raz dane, jarzące się tekstem na ekranie i powiedział:

- Dobra, wszystko w normie. Przekazuję to „górze” i na dzisiaj koniec. – Westchnął.

Poszli do drzwi; drobna, stalowa siatka brzęczała im pod ciężkimi, roboczymi butami. Minęło jeszcze parę minut, zanim do ghuli dotarł komunikat zakończenia pracy. Ustawiły się w równych szeregach i miarowym, powłóczystym marszem opuściły halę. Wszystkie poruszały kończynami w jednym rytmie, ręka przy ręce, noga przy nodze. Gdy miejsce pracy zupełnie się opróżniło, potężne drzwi się zasunęły i w fabryce zapanowała cisza.

- Danielu, Danielu... – Dalekie nawoływanie brzmiało słodkim, kobiecym głosem w uszach mężczyzny.

Daniel podparł się rękami i przybrał półleżącą postawę. Obejrzał dokładnie swoje ciało. Nie było blade i zimne, wręcz przeciwnie – rumiane, zupełnie jak za życia. Wstał i wyciągnął przed siebie ręce. Nie miał na nich trójpalczastych chwytaków, a normalne, ludzkie dłonie. Kilkakrotnie zgiął i wyprostował palce, poobracał nadgarstkami. Spozrzegł, że jest zupełnie nagi, ale nie przeszkadzało mu to. Cieszył się z kondycji swojego ciała. Zorientował się, że stoi w bezkresnej, białej przestrzeni. Przywoływało to niezbyt przyjemne skojarzenia z zakładem dla psychicznie chorych. Był zdezorientowany, ale i uradowany ogromem nowych cielesnych bodźców. Biała pustka wokół nie mówiła mu za to nic.

Gdy chodził powoli i gimnastykował się, testując możliwości przywróconej do świetności powłoki, białe morze zmaćło się, zawirowało i przybrało wreszcie kształty ludzkiej twarzy.

- Danielu – wypowiedziały olbrzymie usta i mężczyzna usłyszał ten sam co wcześniej, niewymownie piękny głos kobiety.

- Tak? – Mężczyzna zwrócił oblicze ku wielkiej, mlecznej masce, wokół której falowały włosy, sięgające aż po horyzont za nim. Otworzył usta, napawając się pięknem tej istoty.

- Pamiętasz mnie, Danielu? – Kobieta uśmiechnęła się i zmrużyła jednolite, alabastrowe oczy.

Mężczyzna spuścił głowę i zmarszczył czoło. Pojedyncze strzępki pamięci migają w jego umyśle; był przekonany, że nie spotyka jej po raz pierwszy. Próbował je powiązać w składny obraz, ale wkrótce poddał się. Brakowało zbyt wielu kawałków układanki, nie mógł też jednoznacznie orzec, że to, co pamięta, nie jest zniekształcone.

- Nie. – Daniel nie ukrywał wstydu.

- To ja, Sara. Spodziewałam się, że zapomnisz. Minęło w końcu tyle lat.

- Tak... – mężczyzna wciąż z otwartymi ustami świdrował ją wzrokiem. Sara Goldnight, przypomniał sobie. Niegdyś była jego żoną. – Ja przez te wszystkie lata stałem się kimś innym. Nie chciałbym cię skrzywdzić. – Zwarł wargi.

- Wiem, wiem... – Mina kobiety nagle przybrała wyraz pogardy i gniewu. – Ale to nie ty jesteś temu winien.

- Jeśli nie ja, to kto? – Daniel podzielał jej zdanie, ale szukając w pamięci wspomnień o winowajcach, znalazł tylko pustkę.

- Ci wszyscy szaleni naukowcy, którzy nazywają swoje plugawe praktyki postępem – grzmiała Sara, coraz bardziej krzywiąc twarz.

Szaleni naukowcy, plugawe praktyki...Daniel nic z tego nie rozumiał. Uchował tylko jedno wspomnie-

nie – różnicę pomiędzy jego zwyczajnym ciałem, a tym. Wiedział, że to, w którym się teraz znajduje pozostało daleko w przeszłości. Co prawda czuł z tego względu sporą podejrzliwość, ale nie był w stanie poprzeć swoich wątpliwości czymkolwiek.

- Oni cię obrabowali. Przywłaszczyli sobie twoje ciało, a potem poćwiartowali je i powpychali w nie te karykatury narządów.

W rzeczy samej, na co dzień Daniel nie doświadczał komfortu posiadania ludzkich dłoni. Zamiast tego manipulował trójpalczastymi, stalowymi chwytakami, takimi, jakich wymagała jego rola w zakładzie. Skoro pamiętał czas, w którym ich nie posiadał, to Sara musiała mówić prawdę. Zaczął tlić się w nim gniew, podsycany płomiennymi słowami żony.

- Oni mi cię zabrali, Danielu. I mnie tobie. Wtedy jeszcze żyłeś, pamiętasz? Jeszcze można cię było odratować – tonem pełnym wściekłości i goryczy przemawiała Sara.

- Pamiętam – przesyłabizował mężczyzna. Jego wzrok stał się pusty, jakby chciał spojrzeć wewnątrz samego siebie. Zaczęły do niego powracać różne zamazane szczegóły życia, i ten jeden, najwyraźniejszy ze wszystkich. To była jego własna śmierć.

Leżał na noszach w ambulansie, który mknął na antygravitacyjnych poduszkach przez zatłoczone ulice. Karetka mijala inne pojazdy z charakterystycznym, spowodowanym efektem Dopplera świstem. Daniel drżał gwałtownie, podczas gdy sanitariusze próbowali go uspokoić. Był przerażony brakiem możliwości oddychania. Usiłował rozpaczliwie chwytać powietrze szeroko rozwartymi ustami, ale uszkodzone płuco zalewało swoje pęcherzyki krwią, zamiast tłoczyć tlen. Potworny ból w klatce piersiowej, jak gdyby drapieżny ptak zaciskał szpony na jego trzewiach, nasilał się z każdą nieudaną próbą wzięcia oddechu. Medycy wetknęli mu rurkę intubacyjną do gardła, haust powietrza wpłynął wreszcie do piersi Daniela.

- Zróbcie coś, do cholery! Szybciej! – Daniel słyszał coraz słabiej wrzaski Sary. Ogłuszało go głośnie hu-czenie dochodzące, wydawało mu się, z wnętrza czaski. Z każdą chwilą jego oddech stawał się płytszy, aż w końcu ustał. Zamknął powoli oczy, zamro-czyła go napierająca zewsząd ciemność. Śmierć by-wa szybsza nawet od nowoczesnych poduszkowców antygravitacyjnych.

W pokoju monitoringu liczne ekrany jarzyły się su-rową poświatą. Widniały na nich dane biologiczne poszczególnych, obecnie zahibernowanych ghuli. Od dłuższej chwili inżynier wlepiął wzrok w jeden z monitorów – ten, który rejestrował aktywność mostu pnia mózgu i śródmózgowia u jednego z nich.

- Natychmiast przysłać tu neurologa – powiedział szybko i stanowczo do mikrofonu modułu komuni-kacyjnego umieszczonego w uchu.

Minęło dobrych parę minut, zanim doktor Mro-zovich przybiegł do pokoju monitoringu. Skaner odczytał dno jego siatkówki i drzwi rozsunęły się samoczynnie.

- Panie doktorze, proszę spojrzeć tutaj, ghul A-671. Co to znaczy?

- To śni... – po chwili namysłu wycedził neurolog zafrapowanym tonem. – To śni!

- Śni? Jak to możliwe? – Inżynier Higgs stał z zało-żonymi rękami.

- Przyznam, że nie mam pojęcia. Wykluczył pan awa-rię sprzętową?

- To przecież bez sensu, awaria powodująca tak do-kładny wykaz? Zresztą, chwila... – wstukał kilka ko-mend kontrolnych w dotykowy interfejs. Nie wykryły niczego. Higgs wzruszył ramionami.

- Ale marzenia senne u ghula tym bardziej nie mają sensu. Powiem więcej, są po prostu niemożliwe!

Stali przez chwilę w napiętym milczeniu. Wtem, na ekranie monitorującym ghula A-671 rozświetliło się parę innych rejonów mózgu. Higgs i Mrozovich ga-

pili się przez chwilę na osobliwy odczyt, mrużąc oczy i marszcząc czoło, po czym spojrzeli na siebie.

- Co znowu? – Inżynier nie krył dezorientacji.

- Obudził się! – Doktor poczuł dreszcz nowego od-krycia; może jego projekt przyniesie wreszcie owoce. Zdawał sobie sprawę z tego, jak niebezpieczne zda-żenie przekazuje im monitor, ale nie umniejszało to jego fascynacji. – Nie wierzę własnym oczom. Jeśli to prawda...

Ekran rozbłysnął krwistoczerwonymi sygnałami awa-ryjnymi. Piskliwe wycie alarmu przerwało wypowiedź doktora. Higgs doskoczył do konsoli i zaczął frenetycznie przeglądać napływające komunikaty.

- Mechaniczne uszkodzenie drzwi kapsuły – mamro-tał do siebie – od wewnątrz? To próbuje wyjść! – krzyknął wyraźnie zmieszany. Doktor milczał, oszo-łomiony potencjałem tego spontanicznego przeło-mu.

- Ochrona do komory AA, już! – wrzasnął do mikro-fonu Higgs.

Daniel był przerażony brakiem możliwości oddycha-nia. Otwartymi ustami próbował chwycić powietrze, ale zamiast niego wlewał mu się do płuc płyn krio-geniczny. Wierzgał dziko ocieężałymi kończynami. Po chwili szarpaniny zorientował się, że brak tlenu zu-pełnie mu nie zagraża – był przecież ghulem. Zo-rientował się, że jest zamknięty w jakimś klaustrofo-bicznie małym pojemniku, w środowisku dziwnego płynu – zupełnie jak zwierzę zakonserwowane w słoiku dla celów edukacyjnych. Nie mógł pozwolić, by go więzili. Wyrzucił ręce do tyłu, na tyle, na ile pozwalała mu ciasna kapsuła, po czym uderzył sta-lowymi chwytakami w drzwi z przezroczystego two-rzywa. Przez powstałe pęknięcia zaczął się sączyć gęstawy płyn o mdłym, turkusowym zabarwieniu. Uderzył raz jeszcze. Taflę tworzywa posiekały kolej-ne linie rozszczepień. Napór płynu wypchnął ją, roz-pryskując płytę na odłamki. Ciecz zaczęła parować białymi, zimnymi smugami w zetknięciu z posadzką. Daniel wyszedł z kapsuły, wyłaniając się z kłębow kondensacyjnych. Rozejrzał się po komorze powłó-

czystym wzrokiem. Po sterylnych, stalowych ścianach biegło okablowanie i rurociągi systemu kriogenicznego. Kapsuły stały w rzędach, w każdej z nich zamknięty jeden śpiący ghul.

Nagle, drzwi komory rozsunęły się, Daniela oślepiła nagła fala ostrego światła. Dwóch mężczyzn w czarnych mundurach wbiegło do pomieszczenia i krzyżąc nieskładnie jakieś komendy, zaczęli celować w ghula karabinami. Daniel nie miał wątpliwości, że to ci sami ludzie, którzy już raz złupili go z życia. Chcieli to zrobić po raz kolejny. Ogarnęła go wściekłość. Rzucił się naprzód, łomocąc stężalymi nogami o metalowe podłoże. Ochroniarze otworzyli ogień, ale nie byli w stanie zatrzymać oszalałego ghula, pomimo tego, że z każdą przyjętą serią jego ciało coraz bardziej przypominało stal perforowaną. Zanim mężczyzna zdążył się cofnąć, Daniel zacisnął na nim potężne chwytaki. Były w stanie giąć stal, nic więc dziwnego, że w kilka sekund przecięły miękkie mięso i kruche kości. Drugi strażnik, przerażony obrazem masakry, zbiegł. W korytarzu przez chwilę niosły się wyduszane przezeń komunikaty.

Daniel obejrzał swoje obryzgane krwią chwytaki. Rozwarł je i zacisnął kilkakrotnie. Wymamrotał do siebie zeszywniałymi ustami:

- Żyję...

- Widzi pan, dopiero w kilka miesięcy po tym tragicznym zdarzeniu udało nam się zlokalizować przyczynę. Otóż padliśmy ofiarą ataku hakerskiego! Sam haker, jak widać, był osobnikiem o wyjątkowo bujnej wyobraźni i, jak podejrzewaliśmy, nie do końca zdrowym psychicznie. W końcu każdy normalny włamywacz dokonałby jakiegoś sabotażu – po prostu uszkodził oprogramowanie kapsuł czy też systemów bezpieczeństwa. Ten natomiast urządził sobie, że tak powiem, spektakl teatru kukiełkowego! Gdy tylko unieszkodliwiliśmy feralnego ghula, oddaliśmy go naszym technikom. Informatycy, po wyizolowaniu wirusa – ochrzciłem go „wirusem Morfeusza” – i dogłębnych badaniach, nazwali go istnym arcydziełem. Choć sam jego twórca spędzi resztę swojego życia w zakładzie psychiatrycznym, to wirus będzie nieocenionym źródłem wiedzy w zakresie wyższych procesów umysłowych zachodzących w mózgach elektronicznych i, przede wszystkim, częściowo elektronicznych. Co prawda, straciliśmy paru ludzi, ale cóż, bywa, że nauka wymaga poświęceń. – tłumaczył doktor Mrozovich dziennikarzowi.



Cel? Miasto aniołów!

Los Angeles | Jedno z najsłynniejszych miast w Stanach Zjednoczonych. Zbiornica różnorodności kultur i narodowości. Miejsce, które nigdy nie śpi.

Martyna Solarska | adres@mail.com

Mój american dream

Obowiązkowy punkt wycieczki po Stanach Zjednoczonych. Łądując na lotnisku LAX nie pomyślałabym, że trzy dni spędzone w tym mieście tak bardzo zmienią mój punkt widzenia. Po raz kolejny przekonałam się o prawdziwości stwierdzenia: „punkt widzenia zależy od punktu siedzenia”. Już na początku ogromne wrażenie zrobiło na mnie lotnisko. Wielki, gigantyczny hangar, przypomina wnętrze mrowiska. Każdy ma tutaj swoje stanowisko, zadania, a także pozycję w hierarchii. Wydaje się, że to podróżujący znajdują się w najniższej kaście społecznej – robią to, co każe donośny, bezcielesny głos dochodzący z głośników; to on jest właśnie braminem w tej zamkniętej piramidzie kast. Co mi innego pozostało? Bezwiednie słucham wszystkiego, co mówi Wielki Brat. Wreszcie wyplątuję się z labiryntu, jakim bez wątpienia jest lotnisko i kieruję się ku wyjściu. Oślepia mnie mocne, amerykańskie słońce. Rozglądam się dookoła i czuję, jak usta rozszerzają mi się w uśmiechu. Wdycham „anielskie” powietrze, robię krok w przód i spełniam moje marzenie. Amerykańskie marzenie.

Jadąc z lotniska do mojego tymczasowego domu, coraz bardziej przekonywałam się o moim mylnym

spojrzeniu na to miasto. Przed wylotem wyobrażałam je sobie jako nieskazitelnie czyste, zadbane, piękne miejsce. Widok śmieci na ulicach, uschniętych palm i graffiti na budynkach utwierdził mnie w przekonaniu, że jest ono niezmiernie brzydkie, lecz ma duszę. Kreują ją ludzie, którzy mają różne narodowości, religie, zawody. To powoduje tak specyficzną atmosferę LA.

W anielskim domu

Gdy dotarłam do mojego nowego mieszkania, od razu uderzyła mnie amerykańska gościnność. Tak bardzo odmienna od europejskiej, tak bardzo odmienna od polskiej. Czułam się tam raczej jak lokator niż gość. Dlatego większość czasu spędzałam na spacerach, choćby do pobliskiego hipermarketu. Ze swoją europejską, skandynawską wręcz urodą i sportowym ubiorem zdecydowanie nie wyglądałam na Amerykankę. Wyznają one chyba zasadę, że nawet do warzywniaka należy założyć dwunastocentymetrowe szpilki. Schorzenie kręgosłupa murowane. Zwłaszcza, że przeciętna Amerykanka nie jest smukłą sylfidą, lecz dość toporną osobką. Rozmyślając tak o sposobie życia Amerykanów i ich schorzeniach, udałam się do kasy. Wita mnie pan o płomiennych włosach i ze sztucznym uśmiechem. Słyszając mój

obcy akcent bardzo zaciekał się moim pochodzeniem. Niestety, o Polsce nie słyszał. Niezrażona, biorę zakupy i kieruję się do wyjścia. Na ulicy ciemno, ani jednej żywej duszy. Szybko pędzę do domu, bo wiem, że jutro poznam kompletnie inne oblicze Los Angeles.

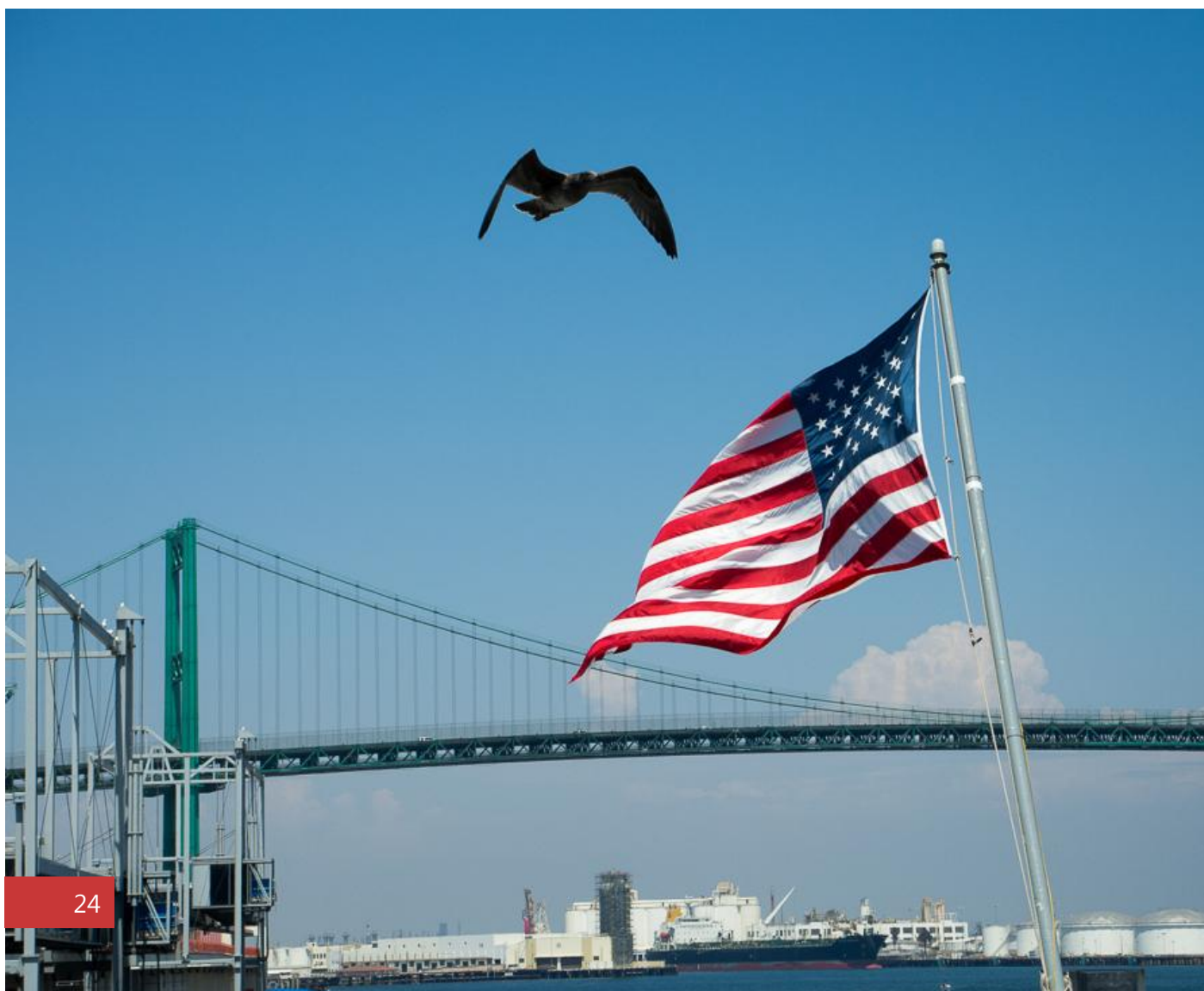
W stolicy *Pretty woman*

To nowe oblicze jest obrzydliwie bogate. Przepelnione garniturami od Armaniego, kreacjami od Coco Chanel, butami Christiana Louboutina. Nikt nie zna pojęcia „komunikacja miejska”, a żółte taksówki zastąpione są żółtymi samochodami z konikiem w logo. Patrzę się na okulary przeciwsłoneczne kobiety stojącej obok mnie. Ich cena jest pewnie tak niebotyczna, że zastanawiam się, ile zer stoi koło jedyńki na jej koncie bankowym. Santa Monica (bo tak nazywa się to miejsce) to ewidentnie miejsce przeznaczone jedynie dla bogaczy. Zwykły śmiertel-

nik – taki, jak ja – mógłby tu sobie zamówić jedynie herbatę w kawiarni. I to na spółkę. Ale za to wreszcie widziałam piękne palmy. I hotel z *Pretty woman*. Poczułam się spełniona.

Być innym

Wyjeżdżając z LA toczyłam z samą sobą wewnętrzną walkę. Czułam, że czeka mnie jeszcze wspaniała przygoda, że zobaczę miejsca, które na pewno zabiorą mi oddech. Jednakże to właśnie LA jest jednym z miejsc, które chciałam zobaczyć najbardziej. Ta mieszanka kultur, zachowań, religii. Nigdy nie widziałam tylu odmiennych od siebie ludzi w jednym miejscu. A odnosili się oni do siebie z takim... szacunkiem, grzecznością, sympatią. W Polsce za bycie czarnoskórym można nieźle oberwać od ludzi w tramwaju. A tam inność nie robi wrażenia. Inność jest ceniona. Inność jest normalna. I to właśnie urzeka, wzrusza i sprawia, że chce się wrócić.





Stopniowa strata barw

Medycyna | Nie pamiętasz, kiedy przyszło. Nie wiesz nawet dlaczego. Dopiero po pewnym czasie zauważasz, że życie straciło smak, nie masz motywacji ani chęci do działania. „Przecież to nie może być depresja”. Wyjątkowo szybko godzisz się z myślą, że to po prostu nieodłączna część twojej „melancholijnej osobowości.”

Weronika Kursa

Dystymia – „półzycie”.

Nazwa dystymia pochodzi od słów dys – zły i thymia – stan umysłu. Jej najprostsza definicja zakłada permanentny smutek utrzymujący się miesiącami czy nawet – latami. Mówi się, że jest to łagodniejsza forma depresji, jednak znacznie trudniejsza do zdiagnozowania. Nie ma tu wstrząsającego momentu, który można uznać za jej początek. Brak również występowania wielu silnych objawów charakterystycznych dla depresji. „Po prostu” twój najbardziej jaskrawą emocją staje się (o ironio!) apatia, jesteś leniwy, chronicznie zmęczony, mało ambitny, nie masz ochoty na uczestnictwo w „kuszącym” życiu towarzyskim i, co najważniejsze – zgadzasz się z dosyć często wygłaszanym stwierdzeniem, że „wszystko jest bez sensu”. Ty „tylko” żyjesz z dnia na dzień, ale... w ogóle tego nie czujesz.

Szufladka „chory” na dobre wytłumaczenie niepowodzeń?

Opinie na temat przyczyn dystymii nadal są podzielone. Mogą mieć podłoże biologiczne, jak i nerwcowe – związane z różnymi wydarzeniami życiowymi czy nawet z brakiem satysfakcjonujących relacji in-

terpersonalnych. Tak naprawdę jednak pierwsze objawy są nieuchwytnie, osoby chore nie „rażą anormalnymi skłonnościami”; mogą wypełniać swe codzienne obowiązki czy też być w bliskich stosunkach z innymi, a to pesymistyczne podejście do życia? Wycofywanie się? Cóż, taka osobowość, „samotnicza”.

Niełatwo o zrozumienie w dzisiejszym świecie, kiedy wielu ludziom zwyczajnie „nie wychodzi” i często bardzo chcą przypiąć sobie łatkę „chory”, co odciążyłoby ich sumienie. Oczywiście – takich jest pod dostatkiem. Brak motywacji i niechęć mogą po prostu oznaczać małą ambicję, z kolei brak wiary w swoje możliwości jak najbardziej może być stałą cechą charakteru. Obecnie, przy tak dużym dostępie do informacji, niemal każdy z nas mógłby znaleźć jakąś chorobę „dla siebie”. A jednak liczbę dystymików w społeczeństwie szacuje się na ok. 3%, a wielu z nich pewnie nigdy nie przyjdzie do głowy, że ich osobowość kształtuje prawdziwe zaburzenie psychiczne, przez co nie zostanie ono wykryte.

Samotny z wyboru?

Granica pomiędzy zwyczajnym introwertyzmem i

byciem aspołecznym a dystymią jest niedostrzegalna, bowiem znajduje się głęboko w psychice danej osoby, która często sama nie jest w stanie jej zauważyć. O chorobie można mówić, kiedy nieprzerwane przygnębienie trwa co najmniej dwa lata, mogą występować zaburzenia snu i wagi, trudności z koncentracją i podejmowaniem decyzji. Kto jednak pamięta, ile jadł dwa, trzy lata wstecz? Kto wychwyci moment, w którym spotkania ze znajomymi czy czytanie książek zaczęło przynosić taką samą satysfakcję jak monotonne zmywanie naczyń po każdym posiłku? Przewlekłość objawów, które mogą trwać nawet wiele lat, często uniemożliwia odróżnienie zaburzenia od „normalnego” stanu. Tu jawi się najgorszy problem chorych – z tym da się żyć, mimo nieustannego poczucia bezsensowności jakichkolwiek działań, uczucia uogólnionego lęku czy nawet, tak powszechnych – dobowych wahań nastroju. Często nie ma tu też skrajnego momentu załamania, który spowoduje jakąś zmianę. Osoby chore zwykle nie dbają o wypoczynek, trwają w toksycznych związkach; ot tak – funkcjonują z dnia na dzień.

Zatem wniosek: „po prostu tak mam” może skazać człowieka na bycie chorym przez całe życie, a co za

tym idzie - na niepotrzebne cierpienie. Ponadto – przez całe życie możemy nie spotkać osoby, która wyjdzie naprzeciw naszej nienaturalnej samotności, która zechce pomóc i przede wszystkim zauważyć, że zamknięcie się w czterech ścianach mimo wszystko nie jest naszym wymarzonym sposobem na spędzanie czasu. Co wtedy?

Pierwsza pomoc na wyciągnięcie ręki – empatia?

Dobrą wiadomością jest to – tu psychoterapeuci są zgodni – że dystymię da się pokonać. Przy zastosowaniu terapii i środków farmakologicznych możliwe jest całkowite wyleczenie. Jednak my też możemy przyczynić się do poprawy stanu zdrowia takich osób będących w naszym otoczeniu. Cóż, może wyda się to banalne (ale podobno to najprostsze rozwiązania są najlepsze) – nie ignorujmy ich. Wyobcowania i zmęczenia nie kładźmy zawsze na karb lenistwa czy pesymizmu. Spróbujmy zrozumieć, a może przede wszystkim – być. Czasem na przekór, jednak nie pozwólmy im trwać w stanie smutku – w przypadku tej choroby on nie mija, to powolne spadanie. Zatem w miarę możliwości – nie pozwólmy im tak stopniowo odsuwać się od życia.

